

Rozdział 1

Roxy

Uwielbiam jeść. Czekoladę. Włoskie makarony. Zapiekaną *cottage pie*. Gulasz. Pizzę. Bułeczki *scones*. Lody... Dzięki jedzeniu wszystko jest po prostu lepsze.

Delektując się, wsunęłam ostatni kawałek ziemniaka do ust i zanim odłożyłam widelec na talerz, westchnęłam z zadowoleniem. Nie, westchnęłam z pełnym radości oczekiwaniem. Na deser przewidziano tort *triple chocolate cake*, czyli tort czekoladowy z płynnym wnętrzem i domowym sosem z prawdziwej wanilii. Lepszy niż najlepszy orgazm. Cała kolacja była przepyszna, ale to? Nie mogłam się wręcz doczekać, kiedy to za bójczo smaczne ciasto wyląduje przede mną na stole. Na coś takiego mogłam z wielką chęcią tracić swój jakże ograniczony czas. Nie na tego faceta, ale właśnie na takie jedzenie.

Okej, na tego faceta, który siedział akurat przede mną, trochę też.

– Ależ to ci sprawia radość, prawda? – Seamus uśmiechnął się szeroko i na jego gładko ogolonych policzkach pojawiły się małe dołeczki.

Na co dzień mówił prawie bez irlandzkiego akcentu – tylko po co silił się na to przy mnie? Ojczyznę wyczuwałam nie-

mal w każdej sylabie. Punkty bonusowe zbierał za przyjemnie głęboki, spokojny głos idealnie pasujący do jego atrakcyjnej aparycji: wystylizowanych blond włosów, szerokich barków i umięśnionych ramion, które dowodziły, że całe lata grał w rugby. A do tego szare oczy lśniące uwodzicielsko.

Poznaliśmy się przed tygodniem w pobliżu British Museum. Jeżdżę tam czasem, żeby pomyśleć, a on akurat szedł do Senate House Library w poszukiwaniu materiałów na zajęcia. Byłam tego dnia kompletnie wykończona i niczego nie pragnęłam bardziej, niż napić się kawy. Zamiast tego wpadłam na Seamusa i dostałam jego numer telefonu oraz zaproszenie na randkę. Niezły interes, jeśli chcecie znać moje zdanie.

Upiłam łyk wody.

– Staram się po prostu cieszyć każdym dniem.

W jego oczach coś błysnęło, przez moment lustrował mnie wzrokiem jak wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Zaczął od botków na morderczo wysokim obcasie, potem przyjrzał się obcistym czarnym spodniom i bluzce w kwiatki z szerokimi rękawami oraz mniej więcej trzycentymetrowemu wisiorowi w kolorze *royal blue* na złotym łańcuszku, który miałam na szyi, aż w końcu dotarł do ust. Nawet nie zaprzątałam sobie głowy, czy po tym wieczorze i wyśmienitym posiłku moja ciemnoczerwona szminka wciąż się trzyma, czy już się rozmazała. Testowałam ją na londyńskich ulicach w najtrudniejszych warunkach: nocą, podczas mgły – i przy mżawce! – w trakcie łowów z moim partnerem Finnem. Skoro była w stanie przetrwać spotkanie z upiorami, duchami i kreaturami z podziemia, da radę też na tej kolacji.

– Właściwe nastawienie – powiedział w końcu Seamus i znów popatrzył mi w oczy. – Czerpać ze wszystkiego to, co najlepsze.

Wydawało mi się czy ma zachrypnięty głos? Lekko skrzeczący. Może podniecony?

Powoli się uśmiechnęłam. Według wszelkiego prawdopodobieństwa randka potoczy się dalej równie ciekawie, jak się zaczęła. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że Seamus nie powie mi zaraz po wyjściu z restauracji „dobranoc” i nie rozplynie się w mglistej londyńskiej nocy. Wsiądziemy razem do taksówki i może trochę się poobściskujemy, jadąc potańczyć lub gdzieś do pubu, a wcześniej czy później wylądujemy u niego w mieszkaniu. Miałam nadzieję, że ma przynajmniej własne mieszkanie lub chociaż wynajmuje je ze znajomymi, a nie dzieli z kimś pokój w akademiku i gdy będziemy się zajmować sobą, w każdej chwili będzie mógł wkroczyć jego współlokator. Takie rzeczy już przerabiałam i nie miałam ochoty na powtórkę.

Jeszcze szerzej się uśmiechnęłam i dyskretnie rozejrzałam się za obsługą. Wybrałam tę restaurację wyłącznie ze względu na kartę deserów, chciałam więc spróbować tego tortu czekoladowego. Za coś takiego mogłabym z marszu sprzedać duszę. No tak, to znaczy, gdybym już tego nie zrobiła. Przynajmniej poniekąd. W każdym razie zostało mi...

Rzuciłam okiem na nadgarstek. Zegarek wskazywał dzisiejszą datę: piętnasty czerwiec. Na ten widok ścisnęło mnie w żołądku. Oznaczało to bowiem, że zostało mi jeszcze dokładnie dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć dni, żeby nacieszyć się życiem. Dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć dni, żeby wysłedzić i posłać z powrotem do piekieł wszystkie duchy, które uwolniłam. Do tej pory znalazłam ich zaledwie ułamek. Co w zasadzie nie było wcale zaskakujące, bo moja misja od samego początku była niewykonalna i z góry skazana na porażkę...

Upiłam duży łyk wody i poczułam w ustach gorzki smak, zmusiłam się więc, żeby znów skupić się na towarzyszu.

– No więc... – zaczął Seamus, ale urwał, gdy kelnerka przyniosła deser. Wreszcie! Najwyższa pora. – Dokąd chcesz iść po jedzeniu?

– Możemy skoczyć do jakiegoś pubu – zaproponowałam i chwyciłam widelec, jeszcze zanim stanął przede mną śliczny talerzyk. – Do klubu. Albo prosto do ciebie.

Kąciki jego ust się uniosły. O tak, ta propozycja bez wątpienia przypadła mu do gustu.

W innych okolicznościach działałoby to może odstrasząco: na pierwszej randce iść z facetem do łóżka. Ale tu w grę wchodził uciekający czas. Prawda była taka, że nie szukałam partnera na całe życie, mężczyzny, za którego wyjdę za mąż, z którym będę mieć dzieci i przy którym się zestarzeję. Niczego takiego nie doświadczę, już się z tym pogodziłam. W ten wolny wieczór szukałam po prostu nieco spokojnej rozrywki. Czegoś, co na chwilę zajmie mi myśli i uciszy tykanie zegara nad moją głową.

Seamus odchrząknął.

– W takim razie proponowałbym od razu do mnie.

– Z wielką chęcią.

Odkroiłam widelczykiem kawałek ciasta i zanurzyłam go w ciepłym sosie waniliowym. Właśnie chciałam unieść go do ust, kiedy coś obok mnie zabręczało. Zamarłam. Przez chwilę modliłam się po cichu, żeby to była komórka jakiegoś innego gościa, który przypadkowo ma taki sam dzwonek jak ja. Wszelkie nadzieje jednak prysły, gdy wyjęłam telefon z torebki.

– Sorki – powiedziałam z roztargnieniem. – Muszę odebrać.

Nacisnęłam zieloną słuchawkę i przytrzymałam aparat przy uchu.

– Finn! – przywitałam się dużo serdeczniej, niż miałam na to ochotę. Pierwszy kawałek czekoladowego ciasta leżał nie-
tknięty na moim talerzyku. – Czego chcesz?

– Gdzie się podziewasz? – Rozległ się dobrze mi znany głos ze szkockim akcentem.

Zmarszczyłam czoło.

– Jestem na randce. Zapomniałeś?

Miałam wolny wieczór. Bez treningu. Bez patroli. Bez łowów. A już na pewno bez duchów, które trzeba odesłać do podziemia. W ten jeden jedyny wieczór mogli się chyba wszyscy łaskawie wstrzymać, jutro rano wrócę do pracy. Czy ja tak wiele wymagam?

Posłałam Seamusowi uspokajający uśmiech. Chociaż chciałam chyba za jego sprawą uspokoić głównie samą siebie, bo ogarnęło mnie przeczucie, że ta randka na bank okaże się katastrofą. Przy czym naprawdę nie była to moja wina. Co mogłam poradzić, że moi koledzy hunterzy zawsze dzwonią z prośbą o pomoc w najmniej odpowiednim momencie? A jeśli akurat miły starszy mężczyzna przy sąsiednim stoliku jest opętany przez ducha, którego zaraz będę musiała wypędzać w męskiej toalecie? Ech... Nie mówmy o tym.

– Ach tak – odparł oschle Finn. – W takim razie może poproszę tego ducha, żeby raczył zaczekać, aż zjesz i przelećisz tego kolesia.

Zacisnęłam zęby. Z zewnątrz wyglądałam zapewne na całkowicie opanowaną, w myślach jednak skręcałam Finnowi kark. I to nie tylko dlatego, że zakłócił mi randkę.

– Czy ty też przypadkiem nie masz dziś wolnego?

Albo raczej: „Co, do jasnej ciasnej, robisz na mieście, skoro dobrze wiesz, że hunter nie powinien wyprawiać się na polowanie sam?”. Po to w końcu mamy partnerów, kurna.

– Luz... – Padło z ust na pozór znudzonego Finna. – Właśnie wracałem z pubu do domu, gdy drogę przebiegła mi taka miła zjawa dość sporych rozmiarów. A więc co? Mam ją prosić, żeby zaczekała, czy jednak wpadniesz?

– Gdzie w ogóle jesteś?

– W Ravenscourt Park.

Raptem jedną stację metra ode mnie.

Zabiję go. Finn już nie żyje. Najpierw znajduje ducha – w wolny wieczór! – a potem przerywa mi randkę. *Wrr!*

– To coś jest cholernie silne – przekonywał głosem adwokata wygłaszającego przed sądem mowę obrończą. – Całkiem możliwe, że to jeden z twoich, więc bądź tak łaskawa, Roxano Blake, i rusz tyłek.

Blee. Nienawidziłam, kiedy tak do mnie mówił. Czułam się, jakbym dalej mieszkała w Irlandii i rodzice chcieli zmyć mi głowę za to, że znów się wyslizgnęłam późnym wieczorem.

– Prześlę ci współrzędne na komórkę – ciągnął Finn, nie czekając na moją reakcję.

– Pocałuj mnie gdzieś! – ofuknęłam go trochę zbyt głośno i tym samym ściągnęłam na siebie spojrzenia. Zignorowałam je. – Będziesz mi coś winny, MacLeod. – A potem, bo mimo wszystko nie mogłam zostawić go bez wsparcia, dodałam: – Już idę. – Po czym się rozłączyłam i odwróciłam do swojego towarzysza.

Tymczasem Seamus przestał się uśmiechać i teraz przyglądał mi się zatroskany. Między jasnymi brwiami zrobiła mu się zmarszczka.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Posłałam ostatnie tęskne spojrzenie na deser, chwyciłam torebkę i wstałam. – Muszę tylko szybko komuś w czymś pomóc. Nie martw się, nie zajmie to więcej niż dziesięć minut. Maks dwadzieścia. No może trzydzieści. Po prostu zamów sobie coś do picia. Wrócę, zanim się zorientujesz, że mnie nie ma. I rób, co chcesz, ale nie pozwól jej zabrać tego ciasta przed moim powrotem!

Niecałą sekundę później wielkimi krokami maszerowałam przez restaurację. W szatni odebrałam ponczo, które przypominało za długi ciemnoczerwony sweter, i wyszłam w zimną noc. Materiał powiewał za mną jak peleryna. Z przodu

sięgał do bioder, z tyłu do podudzia. Odgarnełam jasne włosy za uszy, naciągnęłam kaptur głęboko na twarz i ruszyłam.

Gdy kilka minut później opuściłam stację Ravenscourt Park i znów wyszłam na chłodne powietrze, gwar głosów i dudnienie metra podążyły za mną. Lekko mżyło i światła latarni odbijały się w kałużach przy krawężniku. Moje kroki odbijały się echem wśród murów, gdy przechodziłam pod wiaduktem. Za nim skręciłam w wąską uliczkę, która prowadziła wprost do parku. Po chwili odezwał się zegar na wieży kościelnej, a w odległości zawyły syreny. Wokół mnie było jednak cicho. Aż za cicho.

Nagle znad stawu w północnej części parku nadciągnęła mgła, a ja poczułam gęsią skórkę. W myślach przeklinałam się za to, że nie wzięłam ze sobą żadnej broni. Amulet na mojej szyi się rozgrzał, rozpędzając nieco obawy – jakby chciał mi przypomnieć, że najsilniejszą broń mam zawsze przy sobie.

Zwolniłam. Odgłos moich kroków nakładał się na cichsze cykanie świerszczy oraz hałasy z pobliskiej ulicy, nawet sowa dała gdzieś o sobie znać. Do tego mój przyspieszony oddech. Nie było tu ludzi. Innych łowców. Ani istot paranormalnych. Nie dotarłam jednak jeszcze na miejsce spotkania, którego współrzędne Finn przysłał mi na komórkę.

Minęłam korty tenisowe, opustoszałe o tej porze, podobnie jak plac zabaw w południowej części parku. Huśtawki lekko kołysały się na wietrze. Naciągnęłam mocniej kaptur na twarz i skierowałam się ścieżką na północ, przeszłam obok ławek, koszy na śmieci i drzew posadzonych w równych odstępach. Zapuszczałam się coraz głębiej, aż z gęstniejącej mgły pośrodku parku wyłonił się przede mną niewielki staw.

Nagle zapiekło mnie lewe ramię. Im bliżej wody podchodziłam, tym bardziej paliło, aż miałam wrażenie, jakby moja skóra stanęła w płomieniach. Twarz wykrzywiłaby mi się z bólu,

gdyby nie to, że po blisko pół roku już się do tego przyzwyczaiłam. W tym czasie posłałam z powrotem do podziemia więcej dusz niż łącznie przez wszystkie wcześniejsze lata, gdy pracowałam jako hunterka – wciąż jednak było ich za mało. W takim tempie w ciągu pozostałych dwustu dziewięćdziesięciu dziewięciu dni nie uda mi się wypełnić swojego zadania.

Dotarłam do stawu, pośrodku którego znajdowała się mała wyspa, i przystanęłam. Było zimno, mój oddech parował, a wszechobecna wilgoć przenikała przez ubranie. Stłumiłam dreszcze i rozejrzałam się. Nie minęła sekunda, a z mroku wyłoniła się jakaś postać i ruszyła prosto na mnie.

Inne kobiety dostałyby może palpacji serca, gdyby ktoś taki jak Finn MacLeod obrał na nie kurs, ale my znaleźliśmy się zbyt dobrze. No okej... Finn był atrakcyjny. Tyle mogłam przyznać, w końcu nie byłam ślepa. I jak mogłoby być inaczej – miał czarne włosy, które opadały mu na przeniebieskie oczy, do tego szkocki akcent i wytrenowaną sylwetkę typową dla grim hunterów. Wolałabym jednak rzucić się z wieży zegarowej Pałacu Westminsterskiego lub dać się wciągnąć piekielnym psom do podziemia niż pozwolić, żeby między mną a Finnem do czegoś doszło. Wprawdzie regularnie chodziliśmy razem na łowy, kłóciliśmy się jednak jak brat z siostrą – i dokładnie tak wyglądały nasze relacje: było to połączenie wiecznego wkurzenia z okazjonalnymi chwilami sympatii i głębokim przekonaniem, że zawsze możemy na siebie liczyć.

– Trochę ci zeszło – przywitał mnie i obrócił w palcach sztylet. Tę broń zawsze nosił przy sobie, bez względu na to, czy szedł na polowanie, czy do pubu, żeby obejrzeć mecz piłki nożnej. – Randka była tak świetna czy raczej tak bezna dziejna?

Pokusiałam się o uśmiech, chociaż spiorunowałam go wzrokiem.

– Gdyby nie była udana, to nie miałabym teraz takiej ochoty, żeby zabić ciebie, a nie ducha.

– Mhm – mruknął tylko Finn i uniósł ręce w geście dalekim od pojednawczego.

– Masz w ogóle pojęcie, co bym teraz robiła, gdybyś się nie wtrącił? – wybuchłam.

– Jadła? – Finn wyszczerzył się bez troski. – Powinnaś się cieszyć, dzięki mnie masz przynajmniej coś w rodzaju treningu i możesz spalić te wszystkie kalorie.

Na to mogłam odpowiedzieć jedynie prychnięciem.

– Sorry, Blake, wprawdzie razem polujemy, ale na pewno nie będę odwalać za ciebie całej brudnej roboty. Nawet jeśli akurat jesteś na randce. Która to już w tym miesiącu? Piąta?

Myśl, żeby skrócić mu kark, stawała się z sekundy na sekundę coraz bardziej kusząca. Jakby w reakcji na to amulet na mojej szyi się rozżarzył.

Finn przelotnie zerknął na niebieskawe migotanie.

– Rozczarowujesz mnie. Wiesz przecież, że nie wolno stosować amuletu przeciwko innym łowcom.

Uśmiechnęłam się szeroko, aż zabolowały mnie policzki, i zataczyłam ręką koło:

– Nie widzę świadków. A ty? Poza tym co ci, do diabła, wpadło do łba, żeby iść samemu na łowy? Maxwell cię zabię, jeśli się dowie.

– Nie dowie się, zresztą wcale nie byłem na łowach, tylko przypadkiem spotkałem tego ducha – skontrolował Finn i nie dbale wzruszył ramionami. – Poza tym diabłów nie ma, jest co najwyżej król grimów siedzący na pięknym tronie w podziemiu.

Uniosłam ręce, jakbym naprawdę chciała skoczyć mu do gardła. To, że w ogóle od tak dawna wytrzymałam z tym typem, przechodziło ludzkie pojęcie. Poznaliśmy się ponad trzy lata temu, kiedy zdawałam w Londynie egzamin hun-

terski. Już wtedy doprowadzał mnie do szału... ale mimo to – kiedy na początku roku wróciłam do Londynu – zostaliśmy partnerami. Nawet cholernie dobrymi partnerami.

– Dzięki, mądralo.

Głuche grzmienie znad stawu przypomniało nam, po co tu przyszliśmy.

Westchnęłam.

– Miejmy to już za sobą.

Zamiast się ruszyć, Finn posłał mi krytyczne spojrzenie. Dokładniej mojemu ubraniu.

– Na pewno jesteś odpowiednio wyposażona?

– Serio? Teraz?

Trzeba przyznać, że ciemnoczerwone ponczo było jedyną częścią garderoby, którą bym włożyła, idąc normalnie na łowy. Z wąskich spodni i botków na szpilkach raczej bym zrezygnowała. Przy czym te ostatnie mogły mi ewentualnie posłużyć za broń. Byłaby to przynajmniej jakaś odmiana, bo przeważnie nosiłam przy sobie poręczną kuszę.

Najważniejszy hunterski sprzęt był jednak zawsze przy mnie – i to nie dlatego, że odkąd zawiesiłam na szyi złoty łańcuszek z amuletem z błękitnym kamieniem, nie dało się go zdjąć. Tak już niestety mają magiczne amulety: raz założone, nie dają się ściągnąć, dopóki nie wyczerpie się zawarta w nich magia. Po ponad dziesięciu latach treningu wystarczyło, że ledwie o nim pomyślałam, a kamień rozbłyskał tak jasno, że było to widać nawet przez materiał.

– Pokaż mi tego ducha – zażądałam i zsunęłam kaptur.

Przestało padać, ale w powietrzu nadal utrzymywała się znaczna wilgoć – czułam ją na odsłoniętej skórze i aż przechodziły mnie dreszcze.

– Tędy. – Finn wskazał kciukiem za siebie.

Bez pytania ruszyłam za nim. Stuprocentowo ufałam jego ocenie, a poza tym nie chciałam, żeby trwało to dłużej

niż absolutnie konieczne. W końcu czekała na mnie randka. Myśl o torcie czekoladowym dała mi takiego kopa, że prawie prześcignęłam Finna. Szliśmy brzegiem stawu, uważając przy tym, żeby nie hałasować, a przynajmniej nie zbudzić kaczek i gęsi, które mogłyby zdradzić nasze pozycje.

– Tam z przodu. – Finn przykucnął za krzakami i rozsunał na bok kilka gałązek. Potem pokazał mi miejsce oddalone od nas jedynie o kilka metrów.

Podczas gdy w pozostałej części parku panowały spokój i porządek, tu leżała rozwalona drewniana ławka. Stojący obok kosz przewrócono, a kwiaty wyrwano z ziemi. Dla osób postronnych mogło to wyglądać na zwykły akt wandalizmu, my jednak wiedzieliśmy, o co chodzi. Również dlatego, że kilka metrów dalej utworzył się duży krater, jak gdyby wybuchła tam bomba. Samego ducha nie było nigdzie widać. Żadna nowość. Nagle tuż przed naszymi oczami zmaterializowała się blada postać.

– Ooo, *shit*.

Wiedziałam wprawdzie, że Finn nie wezwał mnie tu z byle powodu, mimo to w głębi serca liczyłam, że będziemy mieli do czynienia z duchem o umiarkowanej sile. Tylko te najpotężniejsze, klasyfikowane jako duchy czwartej fazy, mogły samą siłą woli przybrać swoją dawną postać i stać się widzialne dla przeciętnego człowieka. Wszystkie inne były dla ludzi, a nawet dla łowców – takich jak ja i Finn – niewidoczne. Jedynie soul hunterzy o spojrzeniu duszy potrafili zauważyć każdy rodzaj ducha o każdej porze dnia i nocy, niezależnie od miejsca, ci jednak trafiali się dość rzadko. W kwaterze londyńskiej był zaledwie jeden hunter tego rodzaju. A Deeka zmogła akurat grypa.

– Dlaczego nie powiedziałaś od razu, że to duch czwartej fazy?

– Bo do tej pory nie wytworzył ciała – wymamrotał Finn. – Usłyszałem tylko huk i zobaczyłem chaos.

Co wskazywało raczej na ducha, którego zaliczamy do fazy trzeciej: mającego zdolność opętania człowieka i poruszania przedmiotami. Takie duchy były potężne i niebezpieczne, ale dało się je pokonać. Inaczej niż w tym przypadku.

Rozważyłam możliwości. Finn jako grim hunter polegał na wyjątkowej sile fizycznej i broni, którą bardzo dobrze operował, lecz w walce z duchem i jedno, i drugie byłoby praktycznie bezwartościowe. Tu mogły coś zdziałać tylko soul hunter lub magia amuletu.

Pospiesznie przebiegłam wzrokiem po najbliższym otoczeniu. Pusta ścieżka, mgła nad wodą, żadnych ludzi na widoku. Ułożyłam w głowie plan. Plan, który w ostatnich miesiącach stosowaliśmy tak często, że nie musieliśmy go teraz omawiać.

Skinęłam do Finna, a on ruszył. Skulony zaczął się skradać, schował się za drzewem, a później zniknął mi na moment z pola widzenia. Parę chwil później znów się pojawił, tym razem idąc pomału środkiem parkowej alejki, jakby był całkiem normalnym człowiekiem, który w piątkowy wieczór spaceruje po parku. Przy odrobinie szczęścia ta próba odwrócenia uwagi ducha wystarczy, żebym mogła wkroczyć do akcji.

Tak jak na to liczyliśmy, duch szybko zauważył obecność Finna. Co nie było wielkim osiągnięciem, jeśli wziąć pod uwagę hałas, który robił mój partner. Przyjrzałam się scenie rozgrywającej na moich oczach i wyciągnęłam amulet spod ponczo. Ani historia tej zjawy, ani to, dlaczego akurat tu postanowiła wszczynać burdy, nieszczególnie mnie ciekawiły. Interesowało mnie tylko to, żeby zagonić ją z powrotem do podziemia. Tam, gdzie jej miejsce. Do więzienia, z którego niechcący uwolniłam tego upiora kilka miesięcy temu.

Tak mocno ścisnęłam amulet, że ostry brzeg wbił mi się w skórę. Ból przypominał mi o terażniejszości, przeganiając

z głowy wspomnienia. Nie mogłam pozwolić, żeby coś mnie zdekoncentrowało. Nawet własne myśli.

Gdy tylko duch przeszedł do ataku na Finna, wyszłam z kryjówek i podbiegłam do nich. Zjawa wykorzystała swoje zdolności telekinetyczne i cisnęła śmietnikiem w mojego partnera, który w samą porę odskoczył w bok.

Pieczenie ramienia wzrastało się z każdym krokiem. Stłumiłam je i skierowałam całą uwagę na amulet na swojej szyi. Zamknięta w nim magiczna siła pulsowała, potem niczym świecąca niebieska mgławica przemknęła po moich palcach i je oplotła.

Stojąc nadal w rozkroku, pozwoliłam, żeby ta energia przepłynęła mi przez dłonie. W tym momencie postać z zaświatów mnie zauważyła i zawirowała. Jej oczy znajdowały się w głębokich dołach i rozszerzyły się na widok skoncentrowanej magii. Duch prawdopodobnie już przeczuwał, co go czeka.

Tylko się uśmiechnęłam.

– *Bye, bye.*

Później wyrzuciłam ręce przed siebie. Magiczna siła lśniącego niebieskim promieniem uderzyła w postać i przeniknęła ją od stóp do głów. Przez chwilę, może dwie unosiła się jeszcze bez ruchu nad ziemią, potem rozprysnęła się na tysiące malusieńkich cząsteczek światła, które zaraz, błysnąwszy po raz ostatni, rozpląły się w powietrzu.

W parku zapadła cisza. Najpierw słyszałam tylko swój oddech i szum krwi w uszach, stopniowo jednak zaczęły docierać do mnie odgłosy nocy. Cichy plusk wody, cykanie świerszczy, szelest liści na drzewach. Pohukiwanie sowy.

Finn zabezpieczył okolicę, po czym przytruchtał do mnie.

– Świetna robota. Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym.

Pieczenie ramienia nagle ustąpiło i poczułam wręcz, jak maluteńka cząstka blizny znika z mojej skóry. Odetchnęłam

z ulgą. Jeśli pominąć ogarniające mój organizm zmęczenie, które dopadało mnie po każdym użyciu magii z amuletu, czułam się dobrze.

Wsunęłam wisiołek z powrotem pod ubranie i naciągnęłam kaptur. Potem odwróciłam się do Finna i posłałam mu szeroki uśmiech.

Zaniepokojony ściągnął brwi.

– Co jest?

– Bądź tak miły i trzymaj się z dala od duchów i innych kreatur! – Wwierciłam mu palec w pierś. – I jeśli do jutra rana jeszcze raz do mnie zadzwonisz, gorzko tego pożałujesz.

– Aye. – Rozbawiony pokręcił głową. – No dalej, już cię tu nie ma. Smacznego deseru! – Zawołał za mną, ale nie odwróciłam się do niego, jedynie uśmiechałam się pod nosem. Nie wiem, jak ten typ to robi, ale nigdy nie mogę się zbyt długo na niego złościć. Po raz kolejny zaświtało mi w głowie pytanie, czy z Niallem byłoby dziś tak samo... Gdyby tylko mój brat tu był.

Ból nadszedł szybko i nagle, ale nie niespodziewanie. Zaciśnęłam zęby, pędząc dalej przez ciemny park, Finn zaś pomaszerował w przeciwnym kierunku. Z każdym krokiem usiłowałam wypierać myśli, a przede wszystkim poczucie winy. Nic tu po nich. Dzisiejszego wieczoru nie miałam w programie więcej duchów ani magii, za to mnóstwo dobrej zabawy. I tort czekoladowy.